

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

warszawa, dnia 12 sierpnia 1916 roku

№ 33

Ilu było żołnierzy w wojnach polskich?

Gdy się czyta sprawozdania o potyczkach, walkach i tymczasowych wynikach tej lub owej ofensywy wśród wielkiej wojny europejskiej, gdy się odczytuje w depešach oszalałymi wyrazy wykazy setek tysięcy jeńców oraz dane o wielu milionach zaangażowanych po każdej ze stron walczących, — mimowoli przychodzi na myśl dawne czasy, gdy kilkadziesiąt (niekiedy kilkanaście) tysięcy niećwiczonych żołnierzy stanowiło o upadku lub wznieśieniu się niejednego „potężnego” państwa Europy. Wymowna pod tym względem jest historia wojen polskich a zwłaszcza walnych bitew, podczas których rozstrzygały się losy Rzeczypospolitej. Mamy ją w trzytomowym dziele Tadeusza Korzona p. t. „Dzieje wojen i wojskowości w Polsce” (Wyd. Akad. Umiejętności. 1912). Każdy, kto uważnie przeczyta tę wzruszającą dla polaka księgę, wyniesie z niej jedno ogólne wrażenie: gdy polacy zwyciężali, działo się to niemal zawsze przy zadziwiająco małej sile liczebnej własnego żołnierza w stosunku do siły nieprzyjacielskiej; a gdy przegrywali, nie posiadali najczęściej jakich-takich szans wygranej. Rycerstwo, uchodzące za „najpierwszą jazdę na świecie”, wierzyło gorąco, iż stanowi zasłone ojczyzny niezwalczona, a stałe wojsko polskie nie tylko nie wzrosło liczebno z biegiem lat, lecz, przeciwnie, kurczyło się i malało; kiedy Zygmunt August zamierzał iść o pomoc do Moskwy, zebrał wyborczego wojska więcej, niż 100.000, z wielką „armatą” czyli artylerją; a podczas Sejmu Czteroletniego armia stutysięczna jest już tylko marzeniem, któremu ziścić się nie dano. Rycerz polski kocha „rzemiosło wojenne”, ale nie jest zdolny do tworzenia wojska regularnego, przystoso-

wanego do postępów techniki bojowej. Przez długi czas po wynalezieniu prochu strzelniczego rycerstwo nasze nie kwapi się do strzelby; woli występować w ryszunku średnowiecznym i ćwiczyć się we władaniu kopią i kordem. Jeszcze pod Grunwaldem zwycięstwo wywalczyli przeważnie konne chorągwie ziem polskich. Dopiero najazdy tatarskie, groza potęgi tureckiej, wzrost W. Księstwa Moskiewskiego przynagliły polaków do udoskonalenia sztuki wojennej, chociaż do końca politycznego bytu Rzeczypospolitej męstwo i bohaterstwo żołnierza stawiano zawsze wyżej od zręcznej strategii i sprawnej organizacji technicznej.

Jeżeli zechcemy znaleźć odpowiedź na pytanie, *ilu było żołnierzy w najważniejszych wojnach polskich* — będziemy musieli pogodzić się z faktem, że wiadomości w tej mierze są naogół dość nieściśle, niekiedy bardzo sprzeczne. Rejestrów statystycznych nie prowadzono, zastępy wojsk zaciężnych i kwarcianych zmieniały się, zależnie od okoliczności, a pospolite ruszenie bywało zazwyczaj niekształtną masą, zwiększającą się lub topniejącą niekiedy podczas rozpoczętej już wojny.

Więcej o środkach wojennych pierwszych wieków piastowskich mamy skąpe i niepewne. Znamienne jest np. obliczanie armii Bolesława Chrobrego przez historyków. Piekosiński naliczył najpierw 35.000 wojów, a później 130.000 wojów; Maciejowski posunął się jeszcze dalej w swych śmiałych przypuszczeniach, naliczył bowiem u Chrobrego 24.000 wojska jeźdźnego i 160.000 pieszego. Statystyki te uważają dziś historycy za zupełnie fantastyczne, chociaż niewątpliwie armia Chrobrego musiała być potężna, skoro część jej, t. j. o-

kręgi wojskowe wielkopolskie, wyglądała, według Gallusa, tak:

Z Poznania występowało 1.300 pancernych i 4.000 szczytników; z Gniezna 1.500 panc. i 5.000 szczyt.; z Gieczy 300 panc. i 2.000 szczyt.; z Włocławka 800 panc. i 2.000 szczyt., czyli razem 3.900 pancernych i 13.000 szczytników. Tenże sam Gallus opisuje wielką bitwę, jaka zaszła w r. 1109 pod Naklem. Pomorzanie wyrzucili się z lasów w sile 40.000 mężów; Bolesław miał tylko 700 wojów, niewiadomo czy w swoim własnym korpusie, czyli łącznie z Skarbimirem, który poprowadził atak od czoła. Skarbimir wcisnął się do środka, chociaż Pomorzanie otoczyli się dookoła dzidami, wbitemi w ziemię; Bolesław tymczasem harcował na zewnątrz i ułatwiał wzniecenie popłochu. Gallus podaje liczbę poległych i potopionych w bagnie na 30.000, Pomorzanie zaś — na 20.000.

Różnica liczebna wojsk polskich a nieprzyjacielskich najjaskrawiej zaznaczała się w walkach z tatarami, którzy stali się szczególnie dokuczliwym sąsiadem Polski, jako kraju otwartego dla szybkonogiej konnicy, to też trapionego najazdami w ciągu 450 lat. Oto np. klęska *lignicka*. Henryk pobożny zgromadził pod zamkiem swoim Lignicą (1241 r.) „wielką mnogość baronów i szlachty”, rycerzy zakonnych i ludu zbrojnego i spodziewał się jeszcze pomocy od króla czeskiego Wacława I i od Niemców. Aby się z nimi połączyć (t. j. powiększyć swe wojska o 46.000 żołnierzy) posunął się Henryk, jak mógł, najdalej ku południowi, o milę za Lignicę. Tymczasem tatarzy zabiegli mu drogę i zmusili do wydania walnej bitwy. Przewaga liczebna stutysięcznej hordy, celność jej strzał i szybkość obrotów udaremniła wszelkie wysiłki czterech hufców chrześcijańskich. Henryk uderzył z doborowym swoim czwartym hufem na nieprzyjaciela, walczył zapamiętale, odcięty od swoich, przebiegał się z czterema rycerzami, aż w końcu został zwalony z konia ciosem śmiertelnym. Tatarzy

obciętemi uszyna chrześcian napelnili; 9 worków. Liczbe poległych wspólniejszej podawali rozmaicie, na 10. 30 i nawet 40 tysięcy.

Obok tatarów wystąpili wkrótce krzyżacy. W historii ich długich wojen z Polską jeszcze trudniej ustalić ściśle dane statystyczne. Pierwsza walna bitwa z nową potęgą sąsiedzka pod Płowcami była sławiona, jako świetne zwycięstwo Łokietka. Ale kronikarze polscy nawet liczby poległych krzyżaków nie umiemia określić dokładnie. W źródłowych ich świadectwach mówi się o 16-tu, 20-tu, 30-tu, 40-tu i „więcej” tysięcy zabitych ze strony krzyżackiej, ze strony zaś polskiej wymienia się zaledwie 12-tu „znakomitych szlachetnością”; i najwyżej 500 z popółstwa. Krzyżak Wigand natomiast mówi o śmierci 350 swoich i 600 polaków, a jednocześnie zapewnia, że było pogrzebanych 4.187 ciał.

Nawet armie zaangażowane w wielkiej bitwie *grunwaldzkiej* nie zostały dość ściśle określone liczbowo. A. Kotzebue i J. Voigt oznaczyli siłę krzyżacką na 83.000, Jagiellowa zaś łącznie z Witoldową na 163.000 ludzi. Szajnocha utrzymuje dla krzyżaków liczbę 83.000, lecz armię polsko-litewską zmniejsza do 90—100 tysięcy. Górski naliczył u krzyżaków pod Grunwaldem 16.320 koni, w armii zaś polsko-litewskiej 23.600 koni (oprócz tatarów). Bulla papieża Jana XII z 1412 r. określa liczbę pogrzebanych pod Grunwaldem krzyżaków na 18.000 przeszło. W wojnie Gólskiej (1422 r.) naliczył Długosz 100.000 polskich wojowników, siłę zaś krzyżackiej przyznaje około 30.000 ludzi.

Potężne na swe czasy było polsko-ruszenie, zwołane przez Jana Olbrachta, wybierającego się w r. 1497 na Mołdawię. Była to największa armia, w pośród tych, jakie dotychczas mogła wystawić Korona polska; wynosiła bowiem 80.000 wojowników i około 40.000 czeladzi; tabor składać się miał z 20 a nawet z 30.000 wozów.

Trudno obliczyć dokładnie siłę liczebną wojsk *pod Warna* (1444 r.). Król Władysław zajmował pozycję środkową na czele trzech, czterech tysięcy polaków. Armia Murada liczyła około 40.000 żołnierzy. Do świetnych zwycięstw polskich należy bitwa *pod Orszą* (1514 r.), gdzie 30.000 polaków pobiło na głowę 80.000-na armię Wasyla, tak, iż połowa jej padła na polu bitwy, a wódz naczelny Czedem, 10 starszych i 17 niższych dowódców dostali się do niewoli.

Sławna, zwycięska bitwa *pod Byczyną* (1588 r.), w której Zamoycki wziął arcymaksymiliana do niewoli, trwała zaledwie pół godziny. Siły walczące były tu mniej-więcej równe: po 6.000 żołnierzy z każdej strony. Na polu zostało trupów na sposób węgierski i polski podgolonych 1.800, a na sposób nie-

miecki strzyżonych 1.200. Jeszcze świetniejsze było zwycięstwo polskie *pod Kircholmem* (1605 r.), gdzie 4.000 niepłatnego żołnierza polskiego, przeważnie husaryj polskiej pobiły 14.000 szwedów tak mocno, że na pobojuwisku pozostało 9.000 trupów, a Chodkiewicz wjechał do Rygi; z 60 chorągiewami i 11 działami zdobytemi na wrogu. W pięć lat później mamy nowy cud waleczności polskiej, gdy Żółkiewski, mając niespełna 8.000 żołnierzy, pobił *pod Kiuszynem* 48.000 rosyjan i szwedów. Z tą samą ilością żołnierzy (8.000 zaledwie) wybiera się nieustraszony Żółkiewski na 80.000-na armię Iskandera-baszy i—ginie bohaterko *pod Cecora*.

Po tej klęsce zrozumiano, że największe bohaterstwo nie przelanie zbyć przeważającej siły. Wystawiono około 65.000 żołnierza i pod dowództwem Karola Chodkiewicza rozłożono się oszańcowanym obozem *pod Chocimem*. Sultan nadszedł z 300.000 żołnierzy, a przeciw przez cały miesiąc polacy wytrzymywali ich szturm, aż przyszło do zaszczytnego pokoju.

Długie i uporezywe wojny kozackie przyniosły Rzeczypospolitej drugi Grunwald, a mianowicie zwycięstwo *pod Beresteczkiem*. Pospolite ruszenie miało 100.000 ludzi, a po stronie nieprzyjacielskiej było około 350.000 kozaków, ordy i chłopów. Chan poniósł zupełną klęskę, opuścił pole bitwy i powłókł za sobą gwałtem Chmielnickiego.

Wojny szwedzkie zbyć żywo mamy w pamięci z Trylogii Sienkiewicza, aby się o nich rozwozić. I tu bohaterstwo polskie walczy wciąż przeciw przeważającej sile wroga, Garść mnichów i szlachty w Czestochowie wytrzymuje szturm 9.000 szwedów.

Nowym blaskiem zajaśniała sława żołnierza polskiego pod Sobieskim. Jako hetman polny uzbroił on własnym kosztem 18.000 wojska (15.000 jazdy i 3.000 piechoty) i z tą drobną garstką obronił się przed 100.000 ordy i kozaków *pod Podhajcami* (1667 r.). W sześć lat później tenże Sobieski odniósł wielkie zwycięstwo *pod Chocimem* (1673 r.). — Jeden z najświetniejszych tryumfów oręża polskiego. Sobieski siły swych wojsk obliczał na 30.000 żołnierza; Hussein-basza rozporządzał 35.000 żołnierzy, oprócz 25.000 zasilków, na które mógł liczyć. Straty nie są dość ściśle obliczone. Podobno poległo z górą 10.000 turek, a drugie tyle utonęło w ucieczce przez most na Dniestrze. Jeszcze nie przygasła żywa radość tego zwycięstwa, a król Jan ukazuje się z 16.000 wojska pod Żórawnem, walcząc ze 100.000 turek pod Ibrahimem Szejtanem. Świetna ta obrona kończy się zaszczytnym traktatem żórawińskim. Koronę sławy bohaterskiego króla stanowi wreszcie wyprawa wiedeńska. Król zaprowadził pod Wiednię około 30.000 polaków, ogólna zaś liczba obrońców Wiednia wynosiła 76.000

żołnierzy, którzy walczyli przeciwko 138.000 żoł., oblegających miasto pod Karą Mustafą a zwalczyć mieli potęgę muzulmańska z 310.000 żołnierzy złożona. Wezyr utracił w bitwie 25.000 ludzi, przy oblężeniu zaś — 50.000. Z walecznych obrońców miasta pozostało przy życiu zaledwie 4.000. Polaków padło około 1.000.

Od czasów saskich rozpoczyna się ruina wojskowości szlacheckiej. Po konfederacy; tarnogrodzkiej (1715 r.) i „pośrednictwie” cara Piotra liczbę wojska Rzeczypospolitej ograniczono do 24.000, mianowicie 18.000 dla Korony a 6.000 dla Litwy. W rezultacie w r. 1717 Polska posiadała tylko 16.450 żołnierzy, wówczas gdy Piotr Wielki doprowadził swą siłę zbrojną do 215.000 regularnego i 100.000 nieregularnego wojska, armie zaś austriacka i pruska mogły być w razie potrzeby doprowadzone do 250.000, a wyćwiczone były tak, że „setki tysięcy ludzi poruszały się, nacierały, strzelały, rąbały na komendę jakby jeden człowiek—olbrzym o setkach tysięcy rąk i nóg”.

Słabość Rzeczypospolitej doprowadziła do podziałów. Dopiero Sejm Czteroletni uchwała jednomyślnie, wśród uniesień posłów i publiczności, powiększenie wojska do 100.000. Ale, niestety, nie uchwalono dostatecznych podatków tak, że zamiast stu tysięcy stanęło pod broń zaledwie 40.000 niewyćwiczonego żołnierza. Podczas konfederacy; Targowickiej Kreczownikowie mieli 32.000 żołnierzy, Kachowski 64.000, Rzeczypospolita zaś mogła wystawić gotowego wojska zaledwie 45.000.

Walki o utraconą niepodległość okryja oręż polską wielką chwałą, ale zwycięstwa będą już tylko częściowe. *Pod Racławicami* Kościuszko (który powołał pod broń 150.000 ludzi) stanął na czele 6.000 żołn., w czem 2.000 chłopów i pobił 7.000 rosyjan. W powstaniu Warszawy garnizon polski liczył 3.649 głów i 487 koni; Igelström zaś miał 8.000 ludzi, 1.041 koni i 34 dział. W walkach poległo 2.265 rosyjan, do niewoli zaś dostało się 1.445. Podczas klęski *Maciejowickiej* było w sztyku polskim 7.000 głów, Fersen zaś miał dwa razy więcej, armat zaś potrójną liczbę (60:21). W pierwszych Legionach było 15.000 żołnierzy. Później liczba ta zmalała, topniejąc niestannie.

Księstwo Warszawskie miało około 30.000 żołnierzy i 6.000 koni, ale znaczna część tego wojska walczyła w Hiszpanii albo stała garnizonom po twierdzach, tak, iż do walki można było wystawić około 13.000 młodego żołnierza. Na żądanie Napoleona Księstwo wystawiło jednak w r. 1812 olbrzymią armię 80.000 ludzi i 23.000 koni i urządziło nadto gwardyę narodową. Na wyprawę moskiewską wyjechało około 60.000 polaków.

W r. 1830 zrazu siły wojska polskiego wynosiły niewiele więcej nad 50.000, Rosya zaś wystawiła: 86,039

piechoty, 27.760 jazdy i 336 armat. Pod Wawrem padło z polskiej strony 2.500 ludzi, pod Białoleką 500, pod Grochowem 7.400; straty zaś rosyjskie były naogół dwa razy większe. Po bitwie grochowskiej poczęto tworzyć nowe pułki, tak, iż armia czynna polska wynosiła 70.000 dobrze uzbrojonego żołnierza oraz 20.000 rezerwy. Podczas oblężenia Warszawy armia polska wynosiła 60.000 ludzi i 120 dział, nadto kilkotyśne zalogi w Modlinie i Zamościu, oraz 8.000-ny oddział S. Różyckiego, walczący na tyłach wojsk rosyjskich; armia rosyjska wynosi-

ła pod Warszawą 80.000 ludzi i blisko 400 dział.

W powstaniu ostatniem zgłosiło się do boju najpierw 10.000 młodzieży, w końcu zaś liczba powstańców urosła do 30.000. Tymczasem Rosya miała silną armię regularną, która w samym Królestwie wynosiła 90.000 żołnierzy. Zgniecenie tej armii bohaterów nie wystarczyło Rosyi; wysłała jeszcze 150.000 ludzi na wygnanie.

Takie są liczby wojsk w najważniejszych walkach, jakie Polska do czasów wielkiej wojny europejskiej prowadziła.

L.

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

Nowela.

Przerwana idylla.

2

Pan Morawski uśmiecha się po-błażliwie i w dalszym ciągu pyka fajeczkę, puszczając kłęb błękitnego dymu. W tej jednak chwili na ścieżce, prowadzącej do furtki, zajaśniała biała suknia i słomkowy kapelus, ustrojony tylko co czerwonemi makami. Do werandy zbliżyła się szybkim krokiem dziewczyna równie młoda, jak ładna, wołając już zdaleka głosem przepojonym radosnym śmiechem młodości.

— Dzień dobry panu pustelnikowi!... Dzień dobry!

Morawski wstał i wyciągnął rękę na powitanie z wyraźną życzliwością.

— Dzień dobry, panno Haniu. Cóż tam słyhać?... Stęskniła się pani za mną?..

— Ja nie, bo przyjechałam przedewszystkiem, żeby chodzić po lesie, zbierać kwiaty, kapać się w rzece, pić mleko, słowem, używać wsi. W każdym razie, nie po to, aby się interesować takim starym dziadkiem, jak pan!... — wybuchnęła śmiechem dziewczęcem, gorąco, radosnym, jak dzień słoneczny. Morawski jej zawtórował.

— Ma pani słuszność. Ale ja się zemszcze... —

— No, ciekawa jestem, w jaki sposób?

— Napiszę do Piotra, żeby przyjechał. A wtedy może zobacie, że pani zmieni zdanie i nie będzie tak męskim imieniem pomiałała.

— Kiedy ja pana Piotra nie znam — zawołała trochę zmieszana.

— Cóż to szkodzi? To go pani pozna!

— Możeby nie chciał nawet ze mną rozmawiać.

— A to dlaczego?

— Dlaczego? — zawahała się. Albo ja wiem — dokończyła, śmiejąc się ciągle.

— No jak pani nie wie, to niech pani Piotrusia nie oczernia, bo napewno będzie zachwycony.

— A narzeczonej nie ma?

— Cóż znowu — zawołał prawie z oburzeniem. — Przecież bym wiedział.

— A może już jest nawet żona, a pan nic o tem nie wie — przekomarzała się dalej, patrząc na staro niebem swoich oczu.

— To pani go nie zna! — zaprotestował nagle z zupełną powagą. — Jest moim synem, ale między nami niema tajemnic. Wychowałem go na swego przyjaciela i jestem również jego przyjacielem, a to znaczy najwięcej! No, ale niech pani zechce spocząć chwilę; gorąco dzisiaj, jak w piekarni.

Dziewczyna potrząsnęła głową przecząco.

— Nie mogę, daję słowo! Przyjechałam tylko poprosić pana w imieniu wujka na kawę... Skowronkową już wszystko przygotowała...

— Ha, jeżeli tak, to nie mamy co zwlekać — rzekł z wyraźnem zadowoleniem. — Wczoraj przegrałem trzy party w domino, więc dzisiaj na mnie kolej zwycięstwa.

Sięgnął ręką przez okno do wnętrza i wyciągnął wielki, słomkowy kapelus, którym z powagą nakrył swoje siwe, bujne włosy.

— Nie mogę zrozumieć, jak można grać w tak nudną grę, jak domino. — rzekła dziewczyna w odpowiedzi. — Ja bym umarła z nudów!

Morawski uśmiechnął się z po-błażaniem.

— I ja tak kiedyś myślałem — rzekł nagle z dziwnym smutkiem, padającym na oczy. — Ale czas robi swoje!... Przychodzą chwile, dnie i tygodnie, a czasem nawet długie lata, kiedy człowiek żyje nie żyjąc. Wszvstkie tęsknoty i nadzieje, niegdys tak żywe i płonące, jako pochodnie, gasną i zamieniają się w popioły. Cóż wówczas robić? Trzeba żyć, jakoś przedziwnie ten czas, wlokący się jednostajnie — i udawać przed samym sobą te uczucia, które

już umarły i nie zmartwychwstaną nigdy!

Wyszli za furtkę, którą Morawski zamknął na kołek, i skręcivszy w bok, zapuścili się w las bujnego żyta. Była to dróżka, prowadząca na plebanie. Zdaleka już widać było wyraźnie między drzewami poczerniałe ściany drewnianego kościółka, strzelająca w górę wieżyczkę i błyszczący krzyż na jej szczycie. Starzec milczał, podpierając się kijem, idąc wolno w upale dnia. Młoda dziewczyna, idąc tuż przy nim, miała wrażenie, że ostatnie słowa, które wypowiedział do niej, poruszyły jakieś dawne, zamarte wspomnienia i otoczyły jego serce nowym tumanem tęsknoty. Z pewnem wahaniem, odwróciwszy swoją śliczną głowę w jego stronę, zapytała matowym, stłumionym głosem:

— Pan się nie gniewa na mnie?..

— Ja na panią? Za co?

— Za to, że przypomniałam mimowo to, o czem pan może nigdy nie chce myśleć.

Uśmiechnął się, jak do dziecka, które w dobroci swej mówi niedorzeczności.

— Są rzeczy, o których się nie zapomina — odpowiedział.

— A ludzie?

— Są i ludzie, którzy żyją na zawsze w sercu — opuszczonych!

Hania opuściła oczy na wiązkę chabrow, trzymanyh w ręce, i u-milkła, myśląc o czemś uporczywie. Dopiero po długiej chwili rzekła z wyraźną nieśmiałością:

— Ja bym się pana o coś zapytała, ale się boję.

— Czego? — zapytał ze żdziwieniem. — Czego się pani boi. A może mnie?

— Tak! Boję się, aby pan nie pomyślał, że jestem ciekawą i że tylko przez ciekawość chciałabym wiedzieć. A ja nie! Daję panu słowo! Ja często o tem myślałam, bo świat jest taki okropny, taki straszny, zmateryalizowany.

— Proszę, niech pani zapytuje. Nie będę obrażony napewno.

Ona zmieszala się nieco, a potem rzekła pospiesznie, zatrzymując oddech w piersiach:

— Pan tak cierpi po żonice? Czyż nie tak?..

Morawski spojrział na nią uważnie.

— Tak — potwierdził, nie odrywając oczu od jej źrenic.

— Widzi pan. Doprawdy, to bardzo pięknie z pańskiej strony — zawołała z naiwnym zachwytem.

— Dlaczego?

— Bo pan może jeden zaprzeczy temu, co wszyscy naokół mówią. Wszvscy młodzi ludzie nie wierzą, aby mogła istnieć prawdziwa, wieczna miłość. Ale teraz ja np. już wiem napewno, że nie ma śluszności. Wszakże tak dawno, jak nie ży-

je już pani Morawska, a pan zawsze o niej myśli i tęskni pan do niej — i kocha ją pan, jak żywa... Och jakżebych chciała poznać kiedyś i pokochać człowieka, któryby potrafił tak, jak pan, nie zmieniać swoich uczuć przez lata całe.

— Kto wie, może pani znajdzie. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Nie, wiem napewno, że nie — rzekła z przekonaniem. — Taka miłość nie zdarza się często... Raz mi się zdawało...

Nagle przerwała i zaczerwieniła się mocno.

— Co ja mówię!... — zawołała — przecież pana to nic nie obchodzi!

— Przeciwnie — zaprotestował żywo. — Jest pani tak młoda, że mógłbym być oddawna pani ojcem, więc skoro ja wobec pani przyznaję się do pewnych rzeczy — dlaczegoż pani nie ufa mi!

— To prawda, ale bo widzi pan, to jest takie niemądre.

— Nie wiem, może przeciwnie.

— Bo widzi pan — zaczęła — Ale pan wujowi nie nie powie?

— No, naturalnie.

Dalszy ciąg nastąpi.

Ze wspomnień o człowieku dowcipnym.

(Wspomnienie pośmiertne. — † 24 lutego 1916 r.).

Istnieje wielu grafomanów bez talentu. Rzadziej napotykamy człowieka z talentem a bez umiejętności literackiej.

Takim talentem, wcale wyjątkowym, był zmarły niedawno doktor Stanisław Słonimski. Jednostka na wskroś niecodzienna. Nie będę tu wspominał rysów jego charakteru, dzięki którym zmarły cieszył się ogólną przyjaźnią, wspomnę tylko



Dr. Stanisław Słonimski.

o jego zajęciach najwybitniejszej, która był nieporównany dowcip. Dr. Słonimski tworzył nadzwyczajne *bon-mots*, paradoksy, aforyzmy, całe dialogi, opowieści, nowele, dramata, teorie naukowe, kosmogonie, historyzofie. Znał niemal na pamięć całą Biblię i Szekspira i po swojemu umiał cytować i przerabiać słowa tych ksiąg. Niemala też podstawą jego twórczości była obszerna wiedza w dziedzinie matematyki, chemii, medycyny — oraz wielki zakres obserwacji życiowej.

Gdyby Słonimski umiał pisać i gdyby utrwalił na piśmie to, co przemyslał i powiedział, mielibyśmy bardzo mądrego człowieka w rodzaju Guli-stanu lub Hitopadesy.

Ale talent Słonimskiego objawiał się w mowie; podniecała go obecność ludzi; w samotności był to raczej melancholik, jak Garrick. Główną siedzibą jego przemówień była kawiarnia Semadeniego w gmachu teatralnym.

Słonimski nie tylko mówił, ale wszystkie swoje aforyzmy czy opowieści — odgrywał, jak najlepszy

aktor. Ta strona jego talentu wraz z jego osobą znika na zawsze.

Szkoda wielka, że jego dowcipów nikt nie zapisywał. Humoryści warszawscy nieraz korzystali z jego powiedzeń, ale często przerabiali rzecz niezręcznie. Bardzo wiele jego pomysłów przypadło na zawsze. Może się jednak uda część ich ocalić od niepamięci. Przed kilkunastu laty jeden z felietonistów warszawskich opracował część opowiadań dra S. z dziejów praktyki lekarskiej na prowincji (w dawnym „Kuryerze Codziennym”).

Chcę zapoczątkować to zbieranie słonecznych promieni dowcipu Słonimskiego; niemają ich pamiętać, ale i inni dawni słuchacze i wielbiciele zmarłego może również przyczynią się do zbierania jego pomysłów.

Czastkę tu podaje; oczywiście, jest to błąd cieni żywego słowa.

Najcieższą chorobą jest obecnie *zwanie książki dochodowej*.

Nikt nie powinien żyć *nad stan swoich wierzydeł*.

Dzisiaj piszą wiele aforyzmów — niektórzy biorą za to sufe honoraria. Ja — mówi dr. S. — mam jeden aforyzm, za który nieraz brałem po 200 i 300 rb. — Jakiż to aforyzm? — „W razie uchybienia jednej raty, cała suma będzie wymagalna”.

Pewien żyd żalił się na upośledzenie swego plemienia. — My żadnych praw nie mamy. Generałem być nie można, gubernatorem być nie można, ministrem być nie można... No, i cóż my mamy robić? czem się zając?

Słonimski był chrzczoney. Pewnego razu w niedzielę siedział u Semadeniego, gdy jakiś dowcipniś, wchodząc, powiada: — Jakiś doktor w niedzielę, tu, w cukierni? nie w kościele? Ładny z pana katolik! — Nas, — odparł dr. S. — puszczają do kościoła tylko pięć procent; dziś nie mogłem się dostać. — Okres poprzedni swojego życia nazywał: „moje czasy przedchrześcijańskie”.

Pewien mały chłopczyk pytał się matki: — Proszę mamy, czy żydowskie

dzieci po śmierci także zmieniają się w aniołki?

Pewien ojciec, tą samą kierowany myślą, ogłosił taki nekrolog: — B. P. Józio N. N., zmarły w wieku lat trzech, powiększył grono aniołków wyznania Mojżeszowego.

Pewien antysemita mówił: — Owszem, ja uznaję żyda, o ile jest Spinoza albo Bergsonem. — To niesprawiedliwość! Byle Piotrowski, albo Michalski może być idyotą — a żydowi nawet głupim być nie wolno! Zaraz musi być Spinozą! Żądam również i dla żydów prawa do głupoty.

Czy żyd może być polakiem? — W samej nazwie *id-polak* widzimy, że nie. *Id* — to znaczy *i d*, czyli „ispolniajusz czy dołżnost”. Wynika stąd, że żyd nie może być całym polakiem, tylko „pełniącym obowiązki polaka”. — Chemia polska rozróżnia dwa szeregi elementów: polaki i polakoidy.

W sprawie asymilacji ważnym jest zatarcie wszelkich śladów pochodzenia u mechesów — i w tym celu świeżo założoną została *sztuczna cerownia żydów*.

Co to jest uczciwość? Opowiem wam przykład z własnego życia. Wczoraj u Semadeniego zgubiłem złotówkę, która mi spadła pod kanapę. Przechodzę dziś i szukam. Cóż się okazuje? Leży czterdziestówka. Podniosłem ją, ale jako człowiek uczciwy położyłem na tem samym miejscu dziesięć groszy reszty.

Z dziejów Sherlocka Holmesa. *Koniec Rozd. III.*

...Jack Shepard, Robin Hood wraz z Mańką Samowar rzucili się na obezwładnionego Sherlocka i pokrajali jego ciało na drobne kawałki; niedość tego, spalili je na wolnym ogniu i spopielone zwłoki wepchnęli do koszyka; wkońcu przywiązawszy do koszyka ciężki kamień, rzucili go w głębie Tamizy. — *Początek Rozd. IV.* Powoli Sherlock Holmes powracał do zdrowia...

Pewien jegomość kupił bilet na loteryę. Oczywiście, liczył, że wygra główny los. Więc zaczyna marzyć; rozmawia z żoną i synem, chłopcem lat 12-tu: — Kiedy wygram główny los, kupię powóz. Siądę na głównym siedzeniu na prawo, ty — na lewo, a Józio na przeciwko. — Nie, woła Józio, ja będę siedział na koźle. — Nie wypada. To ordynarne. Będziesz siedział z nami. — Kiedy ja wolę na koźle. — Żadną miarą! — Dlaczego? To jest daleko przyjemniej. — Proszę cię, nie bądź uparty. — Ja nie jestem uparty, ale chcę na koźle. — Jesteś źle wychowany. Będziesz siedział, gdzie ci każą. — Ja chcę siedzieć na koźle... Tu już stary nie wytrzymał i dając Józiovi parę kulaków, mówi: — Szelmo, urwisie! Zejdziesz ty z tego kozła! Zejdziesz ty z tego kozła!...

Na Placu Teatralnym zebrał się wielki tłum koło dorożkarza, który ciężko przejechał jakiegoś przechodnia. Niektórzy z gości Semadeniego, oraz jeden z kelnerów wybiegli na ulicę również, aby zobaczyć, co się dzieje. Wreszcie kelner powraca i zupełnie uspokojony, powiada: — Eh, to nie nasz gość!

Kiedy umierał pewien taksator lombardowy, podano mu w ostatniej chwili krzyż do pocałowania. Taksator krzyż dokładnie zbadał palcami, pocałował i rzecze: — Dęty! — Poczem zamknął oczy na wieki.

Do pewnego jegomościa, który tył coraz bardziej, dr. S. mówił: — Widzę,

że pan po bohatersku walczy z przeszczerzenia i coraz nowe zdobywa domina.

O pewnym panu mówił dr. S.: więc poszedł po rozum do głowy, ale, że go tam nie było, wrócił z niczem.

W czasie skladek na pomnik Mickiewicza, co się odbywało też i w cukierni Semadeniego, niejaki Z. Z. zapisał się w ten sposób: Rb. 25 bezimiennie (Z. Z.). — Dlaczego piszesz nazwisko, jeżeli dajesz bezimiennie. — A jakim sposobem dowiedzą się ludzie, kto dał bezimiennie?

Bankier T. T. również zapisał się na 25 rb. Ale ktoś mu powiada: — To wstyd, taki bogacz daje 25 rb. Dajże ze 200 rb. najmniej: nie bądź świnią! — No, dobrze, to już dam 200, ale, mój Boże, co to mi ciągle kosztuje, żeby nie być świnią!

Na czym polega dematerializacja? To rzecz bardzo prosta. Ile razy płacę komorne, tracę sześć funtów. W ciągu kwartału trzy funty mi odrastają, ale trzy bezprownie przepada. W ten sposób w ciągu lat 15—20 płacąc komorne co kwartał, w końcu ciała zupełnie utracę i stanę się istotą niematerialną.

W pochmurny, dżdżysty wieczór jesienny siedzi w szlafroku przy herbacie w ciepłym pokoju mąż, człowiek siwiący, pełny spokoju, zażywny, pulchny, bez troski; pali cygareto i czyta gazety. Naprzeciw niego kobieta lat trzydziestu paru, przystojna, która z pogardą, nawet z gniewem przygląda się temu zadowolonemu spokojowi swego męża; coś się w niej burzy; ten spokój ją drażni. Kobieta długo milczy, coś w sobie waży, nareszcie zaczyna mówić: — Nie, ja ci muszę, muszę to powiedzieć! Muszę ci wyznać prawdę! Słuchaj! Od dziesięciu lat, prawie od dnia ślubu ja cię zdradzałam i zdradzam, a ty, ślepcze, nic nie widziałeś i nic nie wiesz! A teraz rób, co chcesz! Zabijaj, wypędzaj, lżyj! — Mąż, zakłopotany, słucha tych wyznań: — Ach, mój Boże, po co ty mi właśnie dzisiaj to mówisz, kiedy mi tutaj tak dobrze, a na dworze szaruga i wilgoć! Zamiast spokojnie siedzieć w domu, muszę ci zrobić awanturę, muszę ci kości połamać, muszę się przebrać, opuścić to mieszkanie, przenieść się na noc do hotelu, spać w niewygodnym łóżku; na taki deszcz tłuc się po mieście, jeszcze kataru dostanę! Wołałabyś innym razem powiedzieć mi tę „prawdę”. Zaraz muszę — muszę powiedzieć! Kto cię zmusza!

Wszyscy pamiętają, jak bolesną była wiosna konstytucji rosyjskiej. W owym czasie *Agencja Semadeni* otrzymała następujący telegram: *Pekin*. W Chinach ogłoszono konstytucję. Ludność w popłochu ucieka.

W czasie rewolucji 1905/6 r. tłumy gromadziły się ciągle, wołając: Precz z ceratem, niech żyje Rewolucja! — Kiedy jednego aresztowano, tłumaczył się, że wołał: — Precz z ceratem, niech żyje linoleum.

Liczne dowcipy dra S. upowszechniały się po mieście. Niektóre cudze koncepta przemycano też pod jego nazwiskiem, a czasami nawet powtarzano je Stonimskiemu.

— To nie jest mój wyrób. Proszę uważać na markę fabryczną.

Tymczasem zamykamy tę seryę, do której powrócimy w przyszłości.

A. Lange.



Piosenka prozą.

W gwiaździsty, upajający wieczór sierpniowy, spotkali się, roku okrutnej wojny, opodal rogu Chmielnej.

On, student i poeta, rozkołysany żarem krwi młodzieńczej, szukał spragniony — miłości. Ona, ani poetka, ani studentka, lecz pragnąca i niemniej łaknąca bardzo, zrozpaczona szukała — mamony.

Te dwa pragnienia, tak łatwo odnajdujące się i dopełniające wzajem, nietylko czasu wojny (i na całym świecie, zarówno jak na Nowym) — i tym razem porozumiały się wnet ze sobą i skreśliły w boczną ulicę.

Ale dalej nie poszło już tak gładko.

Rzecz trudna do wyjaśnienia: żadno nie miało tego, czego drugie odeń szukało. Poeta nie miał mamony, dziewczyna nie miała — miłości. Przynajmniej — dla niego...

Ale on (mężczyzna!) posiadał trochę wprawy życiowej — nieraz wszak miał sporo mamony! — więc rzekł do niej:

— Chodź ze mną.

Ona, że rozumiała już trochę życie (kochała przecież nie tak dawno!), poszła za nim.

Ale przezorna (kobieta!) zatrzymała się wnet i spytała — a głos jej zdrzął i twarz się zapłonila:

— Dokąd?

Jemu głos nie zdrzął do tyła, ale niemniej załamał się zlekka, a wzrok zażenował (bo czemże ją przyjmie, o nędzo studentka!).

— Do mnie — odrzekł jednak dość butnie.

I poszli. W milczeniu, jak przystało na dwoje w gwiaździsty wieczór sierpniowy...

Ale nie szli próżno.

Ona — przez całą drogę układała sobie, co mu powie i o co błagać go będzie, gdy zostaną we dwoje: żeby jej dał

trochę pieniędzy i puścił do domu! Gdy to nie poskutkuje, powie mu szczerze całą prawdę: o swoim niedawnym nie-szczęściu, o osamotnieniu obecnym, o nędzy, jaka ją czeka... Może się nad nią ulituje — jedna kochanka mniej, czy będzie mu na niej tak zależało?

On, ze swej strony, postępując koło niej, rozmyślał znów tak:

— Zagram komedyjkę; powiem jej, że mi się strasznie podoba, że znam ją i oddawna pragnęłam poznać. Gdy tego będzie mało, powiem, że jest piękną i że ją kocham! Wreszcie, że miłości nie przywykłem kupować za pieniądze, więc choćbym nawet miał za co, to — i t. d. Nakoniec: od czegoż siła mężczyzny i prawo młodości?! Dla niej zaś jeden kochanek więcej — — —

Tak „rozmyślając” i „układając”, wspięli się pospołu na siódme piętro. Tutaj przy szklance herbaty i kawałku chleba kartkowego okazało się, jak zbyt uczciwymi byli: jej szczerłość i przewrotność poety. Bo *l'homme propose*, natura *dispose* — nawet czasu wojny...

Więc dziewczyna, gdy wypila gorącej herbaty i zjadła chleba kartkowego, nie miała już ochoty prosić o pieniądze; co do poety, gdy przyjrzał się dziewczynie uważnie, zgoła nie czuł potrzeby udawać, że jej pożąda. A już po drugiej szklance herbaty i po drugim kawałku chleba był nawet prawie pewny, że ją kocha. Wzamięn dziewczynie ani w myśli powstało odejść od niego...

Dawnemi laty możeby do tego cudu potrzeba było miesiąca spacerów i wia-der szampana; ale czasu wojny — — — Tegoż jeszcze wieczora postanowili, poeta i dziewczyna, pozostać przy sobie!

I teraz mają oboje, do czego tak bardzo tęsknili: on miłość, ona — szklankę herbaty i kawałek chleba kartkowego!

Za parę tygodni może się nawet pobiorą: czasu wojny wypadki pędzą wszak z zawrotną szybkością — — —

B. Gorczyński.

HAJOTA.



ZABŁAKANE ECHO.

*O! Zostań przy mnie! Choćby czas krótki,
Mnie ciężar życia wkrótce przytłoczy;
Skończą się walki, skończą się smutki,
Niech twoja ręka zamknie mi oczy.*

*O! Zostań przy mnie, ty duszo bratnia,
Przy tobie pierś ma wolniej oddycha,
Niechże to będzie kropla ostatnia,
Którą mam wypić z życia kielucha.*

*O! Zostań przy mnie. Niech mnie twe ramie
Od zawistnego odgrodzi świata;
Wszystko mnie dreczy, wszystko mi kłamie,
Ja tylko w tobie nie widzę kata.*

*O! Zostań przy mnie! Lecz, co to znaczy?
Napróżno w koło wodzę oczyma;
Ciemno i glucho... nie prócz rozpaczy!
Śniłam na jawie... Ciebie już niema!*

B A K.

31

POWIEŚĆ.

Powiódł oczyma po zasepio-nych twarzach karabinierów.

— Teraz, w każdym razie, nie będzie potrzeba temblaka. No, no, uszy do góry chłopcy i pokażcie, czy celnie umiecie strzelać. Niezadługo będziecie mieli więcej do roboty, niż zdołacie nadażyć, a we wszystkim niema, jak wprawa.

— Mój synu — przerwał ksiądz, przystępując do Bąka, podczas, gdy inni cofnęli się, by ich samych zostawić. — Za kilka minut staniesz przed obliczem naszego Stwórcy. Azali nie byłoby lepiej użyć tych ostatnich chwil na żal i skruchę? Pomyśl, zaklinam się, jak okropną rzeczą jest umierać bez rozgrzeszenia. Nie idźcie się na tamten świat z żarciakiem na ustach.

— Z żarciakiem, Wasza Wielbność? Gdy na was kolej przyjdzie, będą w robocie armaty, zamiast pół tuzina wysortowanych karabinów, a wtedy przekonacie się czy to były żarty.

— Miłosierny Boże! — zawołał ksiądz. — Przebacź temu nieszczęśnikowi.

— Amen! — zamruczał porucznik karabinierów głębokim basem, podczas gdy pułkownik i jego synowie przeżegnali się pobożnie.

Ksiądz odstąpił, szepcąc modlitwę i zaczęły się krótkie i proste przygotowania.

Bąk sam stanął we wskazanej postawie, na chwilę tylko odwróciwszy głowę, by spojrzeć na różowoczysta glorię wschodzącego słońca. Ponowił prośbę, by mu nie wiano oczu; pułkownik zezwolił niechętnie. Obaj zapomnieli, czem to mogło być dla żołnierzy, którym karabiny trzęsły się w rękach.

Bąk spozirzał na nich z uśmiechem.

— Jestem gotów — rzekł.

Porucznik, nieco wzruszony, wystąpił naprzód. Po raz pierwszy dowodził egzekucją.

— Celuj — baczność — ognia!

Bąk zachwiał się trochę i wnet odzyskał równowagę. Jedna kula zadrasnęła go w policzek i pare kropel krwi spadło na biały krawat. Druga utkwiała powyżej kolana.

Gdy dym się rozproszył żołnierze spojrzeli i zobaczyli go, że stoi wciąż uśmiechnięty, obcierając krew z policzka okaleczoną ręką.

— Żle strzelacie, chłopcy — rzekł, a głos jego zabrzmiał jasno i wyraźnie. — Spróbujcie jeszcze.

Głuchy pomruk przebiegł po szeregu karabinierów. Każdy z nich celował bokiem z tajemną nadzieją, że śmiertelny strzał padnie nie z je-

go ręki, i skutek był taki, że egzekucja zamieniła się w mord. Bąk stał uśmiechnięty i trzeba było zaczynać na nowo. Ogarnęła ich nagła trwoga; opuścili karabiny i stali bezradni, słuchając gwałtownych wymówek oficerów i patrząc z osłupieniem na tego, którego zabili, a który mimo to żył.

Gubernator począł wygrażać pięścią niefortunnym strzelcom, rozkazując im stanąć w pozycyi, prezentować broń i spieszyć się. Był prawie tak samo wstrząśnięty, jak oni, i nie śmiał spojrzeć na tę straszną postać, która stała, stała i nie chciała upaść. Wtem drgnął, bo Bąk przemówił do niego:

— Trafiliś dziś na szwadron niezgrabiaszów, pułkowniku. Zobaczmy, może ja sobie z nimi lepiej dam radę. Dalej chłopcy! Ty tam na lewo trzymaj lepiej broń. Bodajże cię; toż to karabin nie patelnia. No, gotowości? Dalej więc: Celuj, baczność —

— Ognia! — przerwał pułkownik, występując przed nich. Nie mógł znieść, żeby ten człowiek dawał komendę własnej śmierci.

Nastąpiła mowa, niedoleżna salwa, po której karabinierzy zbili się w bezładną gromadkę, patrząc przed siebie obłąkanemi oczyma. Jeden z nich nie wystrzelił nawet; rzucił karabin i przypadł do ziemi jęcząc:

— Nie mogę! Nie mogę!

Dym rozproszył się zwolna, niknąc w górę ku wschodzącemu słońcu i wówczas zobaczyli, że Bąk upadł, ale zobaczyli i to także, iż jeszcze żyje.

Przez chwilę oficerowie i żołnierze stali, jak urzeczeni, patrząc na drgające na ziemi ciało; poczem doktor i pułkownik rzucili się naprzód z okrzykiem, gdyż Bąk zdołał dźwignąć się na jedno kolano i znów patrzył na żołnierzy i znów się śmiał.

— Nowe pudło. Próbujcie... jeszcze raz — chłopcy —

Zachwiał się i padł bokiem na trawę.

— Skonał? — zapytał pułkownik szepcem, a doktor, przykleknawszy, z ręką na zakrwawionej koszuli, odszepnął.

— Zdaje się, że tak — dzięki Bogu!

— Dzięki Bogu! — powtórzył pułkownik. — Nareszcie!

Synowiec dotknął jego ramienia. — Stryjku! Kardynał stoi u bramy i chce wejść.

— Co! Ależ to niemożliwe!... Co te strażę sobie myślą. Wasza Eminencjo —

Brama otwarła się i zamknęła.

Montanelli wszedł na dziedziniec, patrząc przed siebie jakimś dziwnym, strasznym wzrokiem.

— Wasza Eminencjo... za pozwoleniem... to nie jest widok dla Waszej Eminencji... Egzekucja właśnie się skończyła, ciało jeszcze —

— Przyszedłem go zobaczyć — rzekł Montanelli głosem lunatyka.

— O! Boże! — krzyknął nagle jeden z żołnierzy i gubernator obejrzał się szybko.

Krwawa masa ciała poczęła znów poruszać się i jęczać. Doktor rzucił się na ziemię i uniósł głowę opierając ją sobie o kolano.

— Spieszcie się! — krzyknął rozpaczliwie. — Wy, potwory, spieszcie się. Na miłość Boską skończcie z nim... To nie do zniesienia.

Krew buchała mu na ręce, a konwulsyjne drgawki Bąka wstrząsały nim od stóp do głów. Gdy odchodząc niemal od zmysłów wzywał pomocy; ksiądz pochylił mu się przez ramię; przyłożył krucyfiks do ust kornającego.

— W imię Ojca i Syna —

Bąk uniósł głowę z kolana doktora i patrzył prosto na krucyfiks.

Zwolna, pośród głębokiego milczenia, podniósł złamaną prawą rękę; odsunął święty wizerunek.

— Padre — czy jest — Bóg — zadowolony?

Głowa opadła mu na ramię doktora.

— Wasza Eminencjo!

Kardynał ani drgnął. Pułkownik Ferrari powtórzył głośniejsze:

— Wasza Eminencjo!

Montanelli spozirzał na niego.

— Nie żyje.

— Nie żyje, Wasza Eminencjo.

Wasza Eminencjo raczy odejść. To straszny widok.

— Nie żyje — powtórzył Montanelli i spozirzał na leżącego trupa. — Dotknąłem go, i nie żyje.

— Miałby żyć z półtuzinem kul w ciele — szepnął porucznik pogardliwie, a doktor odszepnął:

— Zdaje mi się, że widok krwi zmącił mu zmysły.

Gubernator położył stanowczo rękę na ramieniu Montanelli'ego.

— Wasza Eminencjo — proszę już na niego nie patrzeć. Pozwoli Wasza Eminencjo odprowadzić się do domu kapelanowi.

— Tak — wójdę.

Odwrócił się zwolna i poszedł ku bramie. Ksiądz i kapelan postępowali za nim. U wyjścia przystanął i obejrzał się z rodzajem jakiegoś upiornego zdumienia.

— Nie żyje!

W parę godzin potem Marcone udał się do ustronnego domku za miastem, by powiedzieć Martini'emu, że już niema po co narażać swego życia.

Wszystkie przygotowania do nowego spisku były gotowe. Postanowiono, że gdy procesya Bożego Ciała przechodzić będzie koło fortecy, Martini wystąpi z tłumu i strzeli do gubernatora.

Korzystając z popłochu i zamętu jakiby potem nastąpił, dwudziestu uzbrojonych ludzi miało się rzucić na bramę więzienną, wpaść do wieży, zmusić dozorcę, by ich zaprowadził do celi i uprowadzić więźnia, zabijając lub obezwładniając każdego, kto by im się chciał sprzeciwić. Raz po raz murami tortecy, mieli się coiać, strzelając i osłaniając ucieczkę drugiej partji uzbrojonych, kocznych przemytników, którzy mieli zabrać Baka i ukryć go w bezpiecznym miejscu w górach.

Jedyną osobą, która o tem nie wiedziała, była Gemma; Martini zastrzegł to sobie wyraźnie.

— Dosyć się jeszcze namartwi— powiedział.

Gdy przemytnik ukazał się przy ogrodowej furtce, Martini otworzył szklane drzwi werendy i poszedł na jego spotkanie.

— Jakie nowiny — Marcone? Ach!

Jedno spojrzenie na zmienioną twarz przemytnika było mu dostateczną odpowiedzią.

Usiedli obaj na werandzie. Żaden z nich nie przemówił słowa.

— Kiedy? — zapytał po długim milczeniu Martini i jemu samemu własny głos dziwnie obco i tępo zadźwięczał w uszach.

— Dziś o wschodzie słońca. Wiem od sierżanta, który był naocznym świadkiem.

Martini spuścił oczy i strzepnął jakiś pyłek z rękawa.

Próżność próżności, i to także było próżnością. Oto sądził, że jutro skończy z życiem. A teraz tajemne jego pragnienie rozwiało się, jak sen i trzeba było wracać do świata codziennych trosk i zabiegów; do świata Grassinich i Gallich, do kłótni pomiędzy towarzyszami, do intryg pośród austriackich szpiegów, do tego całego rewolucyjnego młyna, którego już tak bardzo miał dosyć.

Na dnie duszy czuł ogromną pustkę, którą śmierć Baka sprawiła i raptem zobojętniało mu wszystko; ogarnęło go bezgraniczne, śmiertelne znudzenie.

Ktoś pytał go o coś; podniósł głowę, dziwiąc się, że wogóle komuś chce się jeszcze rozmawiać.

— Co mówili?

— Mówiłem, że, oczywiście, ty jej o tem powiesz.

Martini wrócił nagle do życia i wszystkich jego okropności.

— Ja! — wykrzyknął. — Jakże ja jej to powiem? Mógłbyś równie dobrze zażądać, bym poszedł i pchnął ją nożem w serce. Och! jakże ja jej to powiem! Jakże ja jej to powiem!

Obu dłońmi zasłonił sobie oczy, lecz nagle uczuł, że siedzący obok niego przemytnik drgnął. Podniósł głowę. Gemma stała we drzwiach.

— Słyszałeś, Cezarze? — rzekła. — Rozstrzelali go.

ROZDZIAŁ VIII.

— Gemmo; jakiś człowiek jest na dole i chce się z tobą widzieć.

Martini mówił przyciszonym głosem, jaki bezwiednie przybrali oboje od dziesięciu dni. Ta przyciszona mowa i pewna automatyczna powolność ruchów były jedynymi, zewnętrznymi oznakami ich żalu.

Gemma, w fartuchu, z zawiniętymi powyżej łokci rękawami, stała przy stole i układała paczki ładunków do podziąła. Od wczesnego ranka zajęta była tą robotą i teraz w jasnym, popołudniowym świetle twarzy jej wyglądała blado i mizernie.

— Jakiś człowiek. Cezarze? Czegoż on chce?

— Nie wiem, droga. Nie chciał mi powiedzieć. Mówi, że musi widzieć się z tobą sama.

— Dobrze.

Zdjęta fartuch i opuściła rękawy sukni.

— Pójdę do niego; ale to zapewne szpieg.

— W każdym razie będę w sąsiednim pokoju. A gdy się go pozbędziesz, to idź, połóż się i odpocznij trochę. Za długo już stałaś dzisiaj.

— Och! nie. Wolę wrócić do roboty.

Zeszła zwolna na dół; Martini postępował za nią w milczeniu. Przez te kilka dni postarzała się o dziesięć lat i już nie jedno, ale kilka białych pasem przetykało jej czarne sploty. Przeważnie patrzyła w ziemię; ale gdy przypadkowo podniosła oczy, Martini nie mógł poprostu znieść tego widoku.

W bawialni na dole Gemma zastała człowieka w wieśniaczej bluzie, którego żołnierska postawa kłóciła się z tym strojem. Człowiek ten przestępował z nogi na nogę i rozglądał się trwożnie dokoła.

— Pani mówj po niemiecku? — zapytał w ciężkim zurichskim dyalekcie.

— Trochę. Podobno macie do mnie jakiś interes?

— Panj jest Signora Bolla? Przyniosłem pani list.

— List?

Zaczęła drzeć i ręką oparła się o stół.

— Jestem gwardzista szwajcarskim stamtąd — ręką wskazał na stojącą na wzgórzu fortecę. — To od... tego, co go rozstrzelali w zeszłym tygodniu. Pisał ostatniej nocy. Przyrzekłem mu, że go oddam pani do własnych rąk.

Schyliła głowę. Więc jednak napisał do niej.

— Dlatego tak długo nie mogłem tego listu doręczyć — ciągnął

dalej żołnierz. — On mówił, żeby go nikomu innemu nie oddawać, tylko pani; a ja nie mogłem się wcześniej uwolnić, tak mnie pilnowali. Musiałem sobie pożyczyc tych szmat, żeby tu przyjsć.

Sięgnął za pazuchę. Gorąco było bardzo i arkusik złożonego papieru, jaki wydobyl, był nietylko zbrukany i zmięty, ale i wilgotny.

Żołnierz stał chwilę, szurgając nogami z zakłopotaniem, poczem podrapał się w głowę.

— Pani nikomu nie powie — zaczął nieśmiało. z nieufnym spojrzeniem na nią. — Bo tu tak dobrze, jak o moją głowę chodzi...

— Oczywiście, że nie powiem nikomu. Nie; poczekajcie chwilę...

Zatrzymała go, bo chciał odchodzić i sięgnęła po sakiewkę, lecz żołnierz coinał się obrażony.

— Nie potrzebuję paninych pieniędzy — rzekła szorstko. — Zrobiłem to dla niego, bo mnie o to prosit. Zrobiłbym daleko więcej gdybym mógł... On był dobrym dla mnie... i tyle!

Głos mu zadrzał. Zwolna rękawem po oczach przeciągnął.

— Mielismy strzelać — mówił dalej prawie szeptem — moją kole-dzy i ja. Cóż, człowiek musi słuchać rozkazów. Chybilibyśmy i musielibyśmy strzelać ponownie, a on śmiał się z nas i nazwał nas niezgrabiaszami...

A taki był dla mnie dobry — Milczenie zaległo w pokoju. Po chwili żołnierz wyprostował się; złożył Gemmie niezdarny, wojskowy ukłon i wyszedł.

Gemma stała chwilę nieruchomo z listem w ręku, poczem usiadła przy otwartem oknie, by go przeczytać.

Pisany był ołówkiem, bardzo drobno i ściśle i miejscami prawie nieczytelnie. Ale pierwsze dwa słowa skreślone po angielsku odcinały się wyraźnie na papierze:

„Droga Jim”.

Mgła przesłoniła oczy Gemmy. I straciła go znowu! straciła po raz drugi! Na widok tej pieszczotliwej nazwy tak dobrze z dziecińczych lat zapamiętanej, całą bezpowrotność i straty uprzytomniła jej się na nowo; rozpaczliwie wyciągnęła ręce przed siebie, jakgdyby ciężar tej ziemi, co go przysypała, walił jej się na serce.

Po jakimś czasie wzięła znow list i czytała dalej:

„Mam być rozstrzelanym jutro o wschodzie słońca. Więc jeżeli mam wogóle dotrzymać obietnicy powiedzenia ci wszystkiego, to muszę dotrzymać jej teraz. Chociaż co tu tłumaczyć? Rozumieliśmy się zawsze bez wielu słów, nawet gdyśmy byli dziećmi”.

„Tak tedy, widzisz, moja droga, nie masz co tak się martwić tą starą historją policzka. Ciężki to był cios, oczywiście; ale wiele innych, równie ciężkich spadało na mnie i jakoś dawałem sobie z niemi radę, aż po dziś dzień. A jutro „Finita la Co-

media... Ty i ja przetłumaczymy to sobie, że „Wędrowny cyrk zakończył przedstawienia” i dziękujemy losom, że nam choć tyle okazały miłoślerdzia. Niewiele to, o prawda, ale za to i za inne dobrodziejstwa możemy im złożyć szczerę dziękczynienia”.

„Co się tycze jutrzejszego ranka, pragnąłbym, abyście oboje z Martinim zrozumieli jasno, że jestem zupełnie szczęśliwy i zadowolony, i że niczego więcej od Przeznaczenia żądać nie mogłem. Powiedz to Martinemu na pożegnanie odemnie. To dobry człowiek i dobry towarzysz i zrozumie”.

„Widzisz, droga, ja wiem, że ta przyziemna zgraja robi nam dobrze, a sobie źle, wracając tak prędko do tajemnych sądów i egzekucji; i wiem, że jeżeli wy, co zostaniecie, będziecie się trzymać razem i mężnie pójdziecie naprzód, to doczekacie wielkich rzeczy. Co do mnie, pójdę jutro na dziedziniec z tak lekkim sercem, jak dzieciak, wracający do domu na wakacje. Miałem swój udział w robocie, a ten wyrok śmierci dowodzi, że spełniłem ją dobrze. Odbierają mi życie, bo się mnie boją; i czegoż więcej serce moje żąda może?”

„A jednak żąda jeszcze czegoś. Człowiek, który ma umrzeć, ma prawo do osobistej zachcianki; a moja zachcianka jest, abyś wiedziała dlaczego byłem zawsze takim ponurym mruciem i dlaczego tak mi było trudno zapamiętać dawnych bólażek. Ty, oczywiście, rozumiesz dlaczego, i mówię ci to tylko dla przyjemności napisania tych słów. Kochałem cię, Gemmo, gdyż była brzydkim podłotkiem w perkalowej sukience, z warkoczem na plecach i kocham się dotąd”.

„Pamiętasz ten dzień, kiedy pocałowałem cię w rękę, i kiedy prosiłaś mnie tak żałośnie, bym „tego nigdy więcej nie czynił”. Było to niegodziwe z mojej strony, wiem o tem; ale musisz mi to wybaczyć; a teraz całuję papier w tem miejscu, gdzie napisałem twoje imię. Tak więc pocałowałem cię dwukrotnie i oba razy bez twego zezwolenia”.

„To wszystko. Żegnaj, droga”.

Zamiast podpisu był wierszyk, którego uczyli się razem, gdy byli dziećmi:

„Śmierć czy życie jednej muszki,
„To dla ludzi faramszki”.

W pół godziny potem Martin wszedł do pokoju z jakimś anonsem w rękę i zobaczył Gemme zanoszącą się od płaczu.

Zapominając o wszystkim rzucił się ku niej i porwał ją w objęcia.

— Gemmo! Co ci jest, na miłość Boską? Nie płacz tak okropnie! Ty, która nigdy nie płaczesz... Gemmo! Gemmo! ukochana moja!

— To nie, Cezarze... Powiem ci potem... teraz — nie mogę.

Uwolniła się z jego objęć, szybko schowała zalany łzami list do kieszeni i wstawszy, oparła się o okno, by ukryć twarz.

Martini zamilkł, przygryzając wąsa. Po tyłu latach milczenia, zdradził się, jak sztubak — a ona nawet nie zauważyła tego.

— Dzwon katedralny bije — rzekła po niejakiem czasie Gemma, odwracając się z odzyskanym już spokojem. — Ktoś musiał umrzeć.

— Właśnie z tem przyszedłem — odpowiedział Martin z zwykłym głosem. Podniósł rzucony na podłogę papier i podał jej. Było to wydrukowane pospiesznie wielkimi literami, w czarną obwódkę ujęte zawiadomienie:

„Nasz ukochany biskup, Jego Eminencya kardynał Monsignor Lorenzo Montanelli zmarł nagle w Ravenenie na aneurizm serca”.

Gemma szybko spojrziała na Martiniego, a ten odgadłszy nieme przypuszczenie we wzroku jej ukryte, wzruszył ramionami i rzekł:

— Cóż chcesz. Madonno. Anurizm to tak sam dobry wyraz, jak każdy inny.

KONIEC.



Obchody trzeciego maja.

Obchody trzeciego maja znalazły w p. Witoldzie Giełżyńskim troskliwego informatora. Zebrał on wszystkie materiały, dotyczące uroczystości miejscowych od chwili zatwierdzenia uchwały, i podał w szacie przystępnej i jasnej. Tak dla historyków, jak i dla szerokiej publiczności książeczka ta jest interesującą. Dla historyków przez zestawienie informacji a dla publiczności przez sam fakt podania ich w formie przystępnej. Warto ją też polecić do bibliotek szkolnych, ludowych i rzemieślniczych.

Nowe metody Nauki Czytania i Pisania.

P. A. Szyćówna wydała pracę zmarłej Julii Unsicht-Bernsteinowej p. t. „Nowe Metody Nauki Pisania i Czytania”. Jest to krytyczne omówienie elementarza Promyka i „Nauki czytania i pisania” M. Falskiego. P. Unsicht-Bernsteinowa jest zwolenniczką Falskiego, który wprowadził u nas naukę czytania całymi wyrazami. P. Bernsteinowa mó-

wi: „Falski zsyntetyzował wszystkie dotychczasowe metody w jedną całość, więc rozpoczynając naukę czytania całymi wyrazami, wyrazi te rozkładła na dźwięki, wyodrębnione dźwięki każe składać w wyrazy”.

Broszura p. Bernsteinowej zjawia się na czasie. Zwróci ona uwagę na elementarz tych pedagogów, którzy dotychczas nie mieli możności czy sposobności go poznać.

Do was bracia chłopil!

P. Jan Smoła wydał broszurkę p. t. „Do was, bracia chłopil!” Broszura ta zasługuje ze wszelkich miar na uwagę. Pisał ją chłop z Winiar, Jan Smoła, serdecznie, prosto, wytykając tak wady warstwowym górnym, jak i braciom swoim. Wyjaśnił wiele nieporozumień. Rozwiał uprzedzenia, dotyczące organizacji obywatelskich. I wskazał chłopom cel jasny w dążeniu. A celem tym jest dla Jana Smoły: Niepodległa Polska.

Niektóre z artykułów, zawartych w tej broszurce, były drukowane na łamach „Kuryera Polskiego” i doznały bardzo życzliwego przyjęcia, wywołując dyskusję.

Iliia Muromiec.

Miłośnik literatur wszechczasów i wszechnarodów, nienasycony poeta, p. Antoni Lange w bogacił zbiór swoich przekładów byliną rosyjską o Ilii Muromcu. Wiersz potoczny, rytmiczny, biały oddaje ukrytą dynamikę rosyjskiego, rozlewnego patosu ludowego. W języku polskim brzmi nie zawsze czysto takie specyficzne powiedzenia rosyjskie, jak np. goł, które p. Lange dał powtarzać. Albo też „gebowywyrotny”. Są to jednak drobniaki, które zachowują koloryt byliny i czynią przekład przystępnym dla czytelnika, nieumiejącego po rosyjsku. Poznajcie on przez to ton psychologiczny byliny.

Interesy gospodarcze Królestwa Polskiego a Rosya.

Biblioteka „Kuźni” wydała pożyteczną broszurę p. Zofii Sokółowskiej p. t. „Interesy gospodarcze Królestwa Polskiego a Rosya”. Broszura ta jest u przystępnym szerokim masom myśli o szkodliwości dla naszego przemysłu i handlu cel rosyjskich. W pracy swojej p. Sokółowska korzystała ze znanych prac p. Golińskiej-Daszyńskiej, M. Loewego i H. Tennenbauma. W końcowym rozdziale daje p. Sokółowska omówienie znaczenia polityki gospodarczej dla klasy robotniczej. I przychodzi do konkluzji: „Niezależnie od sprzeczności interesu klasy robotniczej z interesem klas posiadających, wszystko, co rozwój gospodarczy kraju przyspiesza — interesowi robotniczemu sprzyja, wszystkie zaś zarządzenia władzy państwowej, które ten rozwój krepują — są ze stanowiska robotniczego szkodliwe. Dla klasy robotniczej należy kierunek polityki gospodarczej i stopień jej uzgodnienia z budową ekonomiczną kraju posiadać znaczenie pierwszorzędne”. Jednym słowem p. Sokółowska uważa w konsekwencji i zależność demokratyzacji Królestwa uzależnioną przyszlą strukturą ekonomiczną.

